

Witold Sokała: Nowym Metternichom do sztambucha

Od Klemensa von Metternicha wciąż warto się uczyć. Ale niekoniecznie tego, jak skonstruować nowy „koncert mocarstw”. Jeśli szukać inspiracji to raczej w sferze narzędzi i taktyki, a nie wartości, celów i strategii – pisze Witold Sokała w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Metternich. Maestro koncertu mocarstw”.

„Ład międzynarodowy” (vel „porządek” albo „system”, bo te terminy często są stosowane wymiennie) to – z grubsza – zestaw charakterystycznych dla danej epoki kluczowych aktorów, zasad ich kooperacji i rywalizacji oraz charakterystycznych interakcji między nimi. Rzecz jasna, ten teoretyczny konstrukt zawsze stanowi daleko idące uproszczenie, ale jednak pomaga porządkować historyczny ogląd polityki międzynarodowej, dostrzegać najważniejsze prawidłowości, śledzić ewolucję trendów, eksponować rewolucyjne zmiany, a w oparciu o to wszystko – wyciągać użyteczne wnioski także co do współczesności. Pod jednym warunkiem: że zrozumie się różnice uwarunkowań dawnych i dzisiejszych, i nie próbuje mechanicznie przekładać starych wzorców na rekomendacje dla bieżącej polityki.

Świat królów i generałów

Tych „ładów” zaliczyliśmy sporo, a badacze nie są jednomyślni co do ich periodyzacji i nazewnictwa. Zazwyczaj przyjmuje się jednak, że pierwszym naprawdę „nowożytnym” był system wytworzony w Europie po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, nazywany (od końżącego tę wielką rzeź traktatu) „westfalskim”. Przyniósł ostateczne pożegnanie z (charakterystyczną dla wieków średnich) dominacją polityczną Kościoła katolickiego i czynnika religijnego w polityce zagranicznej – bo oto Francja, chlubiąc się mianem „najstarszej córki Kościoła”, jednocześnie w imię interesu dynastycznego i geopolitycznego wsparła w wojnie kraje protestanckie przeciwko katolickiemu cesarstwu Habsburgów. Przy okazji skończyła się era względnie istotnej roli podmiotów innych niż państwa: samodzielnych miast i ich związków, potężnych cechów, udzielnych domen feudalnych... Krzepnący po 1648 roku system opierał się na zasadzie suwerenności państwa – które było „kulą bilardową”, podatną co prawda na zewnętrzną przemoc, ale bez naruszania jego wewnętrznej struktury. Król miał w takiej „kuli” władzę niekwestionowaną i bezkonkurencyjną – a na arenie zewnętrznej cieszył się pozycją równą innym swym odpowiednikom. Teoretycznie, oczywiście – a chaotyczna rywalizacja królestw i królów wstrząsała układanką raz po raz.

Rewolucja francuska i napoleońskie podboje obróciły tamten świat w gruzy. I to na nich Klemens Metternich oraz jemu podobni zbudowali nowy system – znów, od miejsca kongresu końżącego wojny nazwany potem „wiedeńskim”. Odrzucona została, w imię stabilności i porządku, nawet formalna równość podmiotów międzynarodowych. Zwycięskie mocarstwa plus Francja, w której dokonała się restauracja Burbonów, postanowiły stworzyć „koncert” współpracujących ze sobą potęg, zdolnych narzucić swą wolę innym i w razie potrzeby siłowo wymusić posłuch dla swych decyzji. Z perspektywy dziejów pomysł kooptacji

pokonanego wroga był notabene genialny: jego odrzucenie (i skazanie tym samym na wzrost tendencji rewanzystowskich) byłoby bombą podłożoną pod fundamenty nowego ładu, z uwagi na francuski potencjał demograficzny, ekonomiczny, kulturowy i (wciąż, mimo klęsk) militarny. Rozsądniej było więc mieć Paryż „w namiocie”, a nie poza. No, ale – zważmy, że balujący i knujący w Wiedniu dżentelmeni mogli opierać się wyłącznie na swoim rozumieniu procesów dziejowych, opartym o gruntowne wykształcenie i doświadczenie fachowe, i na niewątpliwym zdrowym rozsądku. Nie musieli brać pod uwagę emocji niewykształconej i stanowczo mniej profesjonalnej „opinii publicznej”...

Wsparciem dla fundamentalnej zasady równowagi sił i lojalnej współpracy między mocarstwami była zasada legitymizmu – sprowadzającego się do afirmacji władzy „pochodzącej od Boga” i zwalczania wszelkich ruchów rewolucyjnych, kwestionujących uświęcony porządek społeczny. Trzeba przyznać, że ten ultrakonserwatywny system działał potem całkiem nieźle. Zapewnił dekady pokoju między głównymi graczami, pozwolił wyjść europejskim monarchiom generalnie obronną ręką z zawieruchy Wiosny Ludów, a także negocjować kwestie sporne bez ryzyka zawalenia całej konstrukcji. Do czasu – póki u władzy, lub w jej bezpośrednim zapleczu (mówiąc językiem współczesnym: „eksperckim”) byli ludzie, rozumiejący sens myśli Metternicha, Talleyranda i spółki. Bodaj ostatnim z tych wielkich pragmatyków był Otto von Bismarck: gdy po zwycięskiej bitwie pod Sadową pruscy generałowie mogli (i bardzo chcieli) iść na Wiedeń, zatrzymał ich. Wiedział, że tak nagłe zaburzenie równowagi sił w środku Europy wymusi reakcję pozostałych mocarstw znacznie ostrzejszą, niż miało to miejsce nieco wcześniej na peryferiach Starego Kontynentu, wobec narastającej rosyjskiej presji na gnijące państwo otomańskie. Wówczas Francja i Wielka Brytania

zdecydowały się interweniować zbrojnie i dały Petersburgowi bolesną nauczkę. Berlin zdołał jej uniknąć – co nie przeszkodziło mu (a wręcz pomogło) parę lat później dać nauczkę Francuzom...

Trudna droga ku nowoczesności

Skrajny cynizm polityków, tłamszenie przemocą ruchów emancypacyjnych, tajne policje, pełne lochy, bagnety i armaty interwentów, topiących we krwi narodowe powstania – można na praktyczne działanie systemu wiedeńskiego spoglądać z takiej perspektywy. Ona jest jak najbardziej prawdziwa. Ale jest i druga: oto Europa zyskała sto lat stabilności (względnej, ale jednak). Przewidywalności trendów politycznych i czegoś, co dziś nazwalibyśmy „klimatem dla innowacyjności i biznesu”. Plus ekspansja kolonialna, a raczej dokończenie z przytupem procesów, zapoczątkowanych stulecia wcześniej – prowadzące do podziału niemal całego świata na strefy wpływów poszczególnych mocarstw europejskich, z oczywistą konsekwencją dla ich potęgi i bogactwa. Właśnie, bogactwo: dla klas średnich, a nawet proletariuszy zamieszkujących europejskie mocarstwa nastąpił stopniowo czas bezprecedensowych szans na lepsze życie. Postęp techniczny, cywilizacyjny, ustawodawstwo socjalne... Nie wszędzie po równo. Nie każdemu wedle potrzeb i nadziei – ale jednak.

Czy to zasługa Metternicha i spółki? Dyskusyjne. Na pewno nie bezpośrednio – takie twierdzenie byłoby ahistorycznym nadużyciem. Ale z drugiej strony, nie można całkowicie zamykać oczu na związki pomiędzy porządkiem międzynarodowym a szansami rozwojowymi poszczególnych państw w tamtej epoce.

Gdy kolejne pokolenia polityków straciły zrozumienie i szacunek dla stabilizujących system zasad, wreszcie stało się to, co musiało – kluczowe potęgi wzięły się za łby w roku 1914, i *de facto* żadna z nich nie wyszła z tego starcia zwycięsko. Kosztem ubocznym była śmierć i nędza milionów ludzi oraz trauma tych, którzy przeżyli Wielką Wojnę. W Wersalu (i okolicach) postanowiono więc skonstruować nowy, lepszy ład – w którym dynamiczną równowagę mocarstw miała zastąpić bardziej sprawiedliwa zasada rządów prawa międzynarodowego i poszanowania prawa narodów do samostanowienia. Ta idea okazała się jednak zbyt idealistyczna (i to nie tylko „na swoje czasy”, jak dowiodły doświadczenia późniejsze). Liga Narodów była tworem bezzębnym, samostanowienie wygenerowało nowe konflikty (Metternich, powstawszy z grobu, rzuciłby pewnie „a nie mówiłem?”), a na domiar złego wschodząca potęga USA postanowiła przejściowo uciec w izolacjonizm. Pokonane podczas wojny państwa – zamiast mądrze wkomponować w nowy system – tym razem upokorzono, pozbawiono licznych prowincji (bardziej lub mniej słusznie), zdegradowano ekonomicznie i w ten sposób „zaproszono” do prób wysadzenia systemu w powietrze. Co też niebawem miało miejsce (duch księcia miałby kolejny powód do złośliwego chichotu).

Kolejna wielka wojna wyekspediowała centra globalnej potęgi poza stary świat: do Waszyngtonu i Moskwy. Ład dwubiegunowy, zwany niekiedy „zimnowojennym” opierał się w większości o zupełnie nowe zasady. Po pierwsze, charakteryzował się podporządkowaniem niemal wszystkich podmiotów jednemu z dwóch współhegemonów, a także jakościową rywalizacją obu bloków na wszelkich możliwych polach (nie tylko politycznym i militarnym, jak bywało wcześniej, ale także konkurencją odmiennych systemów ustrojowych, gospodarczych, a nawet społeczno-kulturowych). Po drugie, mieliśmy do czynienia ze

strategiczną dominacją broni masowego rażenia, z niesioną przez nią groźbą zagłady całej ludzkości, i w efekcie z desperackim poszukiwaniem możliwości efektywnej rywalizacji „poniżej progu otwartej wojny” – poprzez przeróżne rodzaje „proxy wars”, dywersji, terroryzmu, itp. I po trzecie – co prawda skonstruowano system Narodów Zjednoczonych, ale pozwolono mu ewoluować i krzepnąć w taki sposób, by stanowił on płaszczyznę powstrzymywania eskalacji między dwoma blokami, a nie zapewniania faktycznej sprawiedliwości w relacjach regionalnych i globalnych.

Jego Wysokość Chaos

Po implozji ZSRR i rozpadzie „bloku wschodniego” stary system umarł śmiercią naturalną. Nieco niepostrzeżenie. Po raz pierwszy w dziejach bez wyraźnej cezury czasowej, bez wielkiej wojny, bez kongresu pokojowego, na którym zwycięscy liderzy i ich doradcy mogliby omówić i zawrzeć w traktatach porządek nowego świata. Rzesza teoretyków zaczęła więc wkrótce opisywać „nowy ład międzynarodowy *in statu nascendi*” – najczęściej wskazując na jego jednobiegunowość (istotne *novum* w historii światowej polityki), a także dominację czynnika ekonomicznego nad militarnym. Brak przeciwnika, zdolnego rzucić Stanom Zjednoczonym i ich potędze otwarte wyzwanie symetryczne rychło zaowocował pojawieniem się rywali nazwanych asymetrycznymi – oraz adekwatnych narzędzi i procedur walki (z których spora część była twórczo zaadaptowanymi instrumentami wojen zastępczych z okresu minionego). Umówmy się – to już był świat tak jakościowo odmienny od tego z czasów wiedeńskiego kongresu, że szukanie prostych analogii do dorobku i poglądów Metternicha straciło sens.

Pojawiły się za to nawiązania do okresu przedwestfalskiego, skądinąd bardzo ciekawe intelektualnie, a mające źródło już w piśmiennictwie naukowym lat 70. ubiegłego wieku (patrz: Hedley Bull i jego koncepcje „neomediewializmu”). Rzeczywiście, pewne podobieństwa średniowiecznej Europy i Europy „unijnej” są uderzające, jeśli chodzi o elementy konstytuujące porządek międzynarodowy. Władza centralna w państwie narodowym – względnie słaba, bo kompetencje uciekają jej w górę (wtedy „Święte Cesarstwo”, dziś Komisja Europejska i w pewnym stopniu Parlament Europejski), w dół (samodzielne metropolie, struktury samorządów terytorialnych i zawodowo-branżowych, wtedy i teraz) oraz w bok (niegdyś Kościół, dziś media i organizacje trzeciego sektora). Pracujący w Oxfordzie polski politolog prof. Jan Zielonka wizjonersko pisał jakiś czas temu o Unii jako o takim potencjalnym, miękkim, „neośredniowiecznym imperium” – otwierając pole do spekulacji, czy mogłoby ono stać się jednym z biegunów nowego systemu, konkurencyjnym (acz oczywiście w sposób „przyjazny”) względem USA. Bo tu jest pies pogrzebany: o ile wcześniejsze łądy międzynarodowe były z założenia europocentryczne, i to na Starym Kontynencie rozgrywało się starcie głównych graczy, to wiek XX sprowadził nas w dużej mierze do roli „zachodniego półwyspu Eurazji” i pola rywalizacji aktorów zewnętrznych. Co, swoją drogą, chyba wciąż do wielu nie dotarło.

Tymczasem drugi biegun globalny rośnie nam w Pekinie, choć nie bez trudności (spowolnienie wzrostu gospodarczego i problemy strukturalne rzutują jednak wyraźnie na chińską sprawczość i potęgę). Z pewnością nie będzie przyjazny – choć w optymistycznym wariacie może być przynajmniej częściowo konstruktywny i przewidywalny. Dużo zależeć będzie od tego, jak ostatecznie Pekin rozegra sprawy z Rosją – czy podporządkuje ją sobie w pełni (jest na dobrej drodze), czy

stanie się coś, co tę kalkulację zaburzy. Możliwości jest kilka: od zwrotu Rosji ku samodzielnej pozycji, po szczęśliwym (dla niej) wybrnięciu z awantury ukraińskiej i powrocie do *business as usual* z Zachodem, aż po scenariusz nagłego rozpadu Rosji, który stworzy nowe pole do bezpośredniej rywalizacji między USA i Chinami o elementy „masy upadłościowej”. Tym, którzy w tym miejscu powiedzą lub pomyślą „bajki, to niemożliwe” – proponuję przypomnieć sobie lub sprawdzić, ilu specjalistów w połowie lat 80. ubiegłego wieku traktowało serio perspektywę rozpadu ZSRR i bloku wschodniego...

Nowi aktorzy, nowe reguły

Ale na Chinach (czy jak kto woli: „Chirosji”) lista potencjalnych mocarstw nowego świata się nie kończy. Indie oraz Arabia Saudyjska wraz z paroma innymi sunnickimi monarchiami regionu Zatoki – to najpoważniejsi, choć zdecydowanie nie jedyni, kandydaci do zwiększenia swej roli już nie tylko regionalnej, ale i globalnej, wyraźnie niezainteresowani jednoznacznym opowiedzeniem się po stronie Waszyngtonu lub Pekinu, ale grą na własnych warunkach i utrzymaniem bezpiecznego dystansu od tamtych ośrodków. Z kolei „globalny Zachód” to też nie jest dzisiaj stary układ „USA plus europejscy wasale”, ale dynamiczny układ, obejmujący Wielką Brytanię (aspirującą do odbudowy globalnych wpływów poprzez m.in. zreformowany Commonwealth), Unię Europejską (w narastających turbulencjach, ale jednak z niebagatelnym potencjałem), a także Kanadę, Australię, Japonię, Koreę Południową, Tajwan... Czyli kraje, które łączy już nie geografia i dziedzictwo kulturowe, ale wolnorynkowa gospodarka, liberalna demokracja, otwartość na postępowe reformy społeczne, wrażliwość na prawa człowieka i

problemy środowiskowe, a także – lęk przed tendencjami brunatno-autorytarnymi, wewnętrznymi i zewnętrznymi, gotowymi deptać ów katalog wartości.

To nie koniec komplikacji, o których nie śniło się Metternichowi i jego współczesnym. Oto rywalizacja mocarstw, realnych i aspirujących, dotyczy już nie tylko lądu i morza, ale również (a może przede wszystkim?) Kosmosu i cyberprzestrzeni. Technologia zmieniła rolę geografii, bo odległości i czas skurczyły się do zera, politykę i biznes prowadzi się często w czasie rzeczywistym, zaś łańcuchy górskie i bagna przestały być takimi przeszkodami, jak 200 lat temu. Czynniki ekstensywne: wielkość powierzchni i populacji, proste zasoby naturalne, itp. – straciły na znaczeniu, na rzecz zdolności do innowacji technologicznej, finansowej i organizacyjnej. Pionowe hierarchie zostały zastąpione przez poziome (lub wielowymiarowe) sieci, z wszelkimi tego konsekwencjami. I wreszcie – do gry powróciły podmioty niepaństwowe, rywalizujące o władzę, bogactwo i rząd dusz z tradycyjnymi, państwowymi imperiami. To nie tylko wielkie korporacje i Elon Musk, ale także Al-Kaida czy ISIS, nowoczesne organizacje mafijne o zasięgu transnarodowym, uniwersalne ruchy ideowe, a także coraz bardziej samodzielne w swej polityce kosmopolityczne megamiasta.

Czy w takim świecie w ogóle możliwy jest „koncert mocarstw”?

Przypomnijmy – tamten, z czasów Metternicha, oparty był na daleko idącym podobieństwie dominujących aktorów. Ich liderzy grali *de facto* o to samo, podobnymi narzędziami, mówili tym samym językiem i wierzyli w podobny zestaw wartości. Dzisiaj cele i instrumenty wymienionych wyżej aktorów są tak skrajnie różne jakościowo, że nie ma mowy o żadnym szerszym *consensusie*. Nawet jeśli część

tradycyjnych mocarstw dogadałaby się między sobą – te mniej tradycyjne są zdolne wywrócić stolik w dowolnej chwili. Stosując metody i narzędzia tak asymetryczne, że tłuste koty przy stole mogą ich nawet nie zauważyć.

To nie znaczy, że nie warto studiować dzieła Metternicha i szukać inspiracji. Ale raczej w sferze narzędzi i taktyki, a nie wartości, celów i strategii. Rozumienie aktualnych uwarunkowań, umiejętność optymalnej gry tymi kartami, które aktualnie ma się w ręku, wykorzystanie słabostek i błędów przeciwników – ale też sojuszników! – na swoją korzyść... tego od księcia-kanclerza mogliby uczyć się niemal wszyscy współcześni „mężowie stanu”. Analitycy zresztą też.

Witold Sokała